Bogdan Nowicki

Nielot

Dzień nie zapowiadał się dobrze. Właściwie nie zapowiadał się wcale. Suche gałęzie chrobotały o wyszczerbiony dach. Ale tak licho. Bezcieleśnie. Że z cicha pękł. Ptaszki dyndały na nich bez treli. Mdłe światło nie świeciło, tylko mżyło.

Siedemdziesięciosiedmioletni Gustaw gapił się na ceratę w oknie i nie chciało mu się wychodzić z łóżka. Sprężyna wbijała się pomiędzy łopatki. Ignorował ten ból. Ignorował pełny pęcherz. Ignorował dym, który owijał go, a potem kołysał niby w kołysce. Dym inkunabułowy, wysnuwający się z głowy. Wielkie, jasne plamy na ścianach przypominały, gdzie dawniej stały szafy, regały. Meble, które ktoś przetarł na wylot ścierką, więc znikły. Pozostało samo puste miejsce. Więcej, miejsce braku. Tynk z gęsią skórką. Wietrzejące belki. Lufciki w próchnie.

Pierwszy zajrzał Bronek. Patykowaty. Szczerbaty. Z kłakami na potylicy. Jego wybałuszone oczy nie patrzyły, tylko mieniły się ciemną, oleistą barwą. Nieludzkie. Bardziej płazie czy gadzie. Jaszczur z wysuniętą żuchwą.

– Pora… już pora, dziadygo – syknął, wydął wargi, postukał się w czerep. – Masz za swoje… Zadro jedna!… Miedzy mu się zachciało… Będziesz miał gliniany dołek…

Zaskrzypiał próg, który bardziej był już zapadliskiem niż wybrzuszeniem. Przez uchylone drzwi wepchnęła się gruba, spocona Lidka. Z jasnym warkoczem do bioder. Lubiła nim majtać, kiedy coś ją drażniło albo zaciekawiło. Teraz zawinęła go wokół piąstki niby sznurek.

– A łodpuśćże mu. Niech dalej se nosi wata w uszach. Wszyćkie wiedzom, że przyszła kryska na Matyska, yno tyn obibok dursik wyleguje się w barłogu, jakby żodny kary niy było, tfu!!!… – wypaliła zasapana, poruszając policzkami pełnymi miękkich klusek.

Pogapili się, pogapili na to truchło leżące w łóżku, jednocześnie strzyknęli śliną i czmychnęli. Aż zachrzęściła ścieżka. Wygięła się w dół, taka kładka nad przepaścią.

Gustaw zwiesił sękate nogi. Najpierw lewą, potem prawą juchę. Zamachał dwa razy ręką: dym rozwiał się. Za to pojawił się gdzie indziej. Zwiędły, szary, płynny. Jeszcze bardziej opustoszały, zamienił się w drobny piasek, prześlizgujący się pomiędzy palcami.

Dopiero widok ogołoconych, karłowatych jabłonek za oknem w pneumatycznej mgle, to wynurzających się, to zanurzających w dali, sprawił, że Gustaw zachwiał się i padł na zmiętą pościel.

Za sztachetami mignęły kaptury wierzycieli. Nie mieli twarzy, tylko płaskie maski. I ten brak jakiegokolwiek wyrazu na nich najmocniej go przeraził. Nastąpił rozbłysk. Zgaśnięcie. Gustaw chciwie łapał powietrze, czując, że to kto inny za niego oddycha. Machinalnie szukał wystającej sprężyny, aby się czego ucapić. Namacał ją. Zaś pod brzuchem poczuł rozlewającą się gorącą plamę moczu. Wsiąkała mu do wnętrzności, niby do gąbki.

– Już ide, ide – usłyszał głos matki z kuchni.

Wybierała popiół z popielnika zardzewiałą, wygiętą szuflą. Popiół był ciepły, żywy, ogrzewający blachę wiadra. Kopcący matową światłością. Jak co roku późną jesienią przygotowywała konfitury. Z jeżyn, malin, śliwek. Gdy wiadro było pełne drżącego kożucha, szła z nim do ogrodu i całą zawartość rozsypywała pod drzewami. Pyliło wtedy i zasłaniało świat snuty na krośnie przez leniwe palce zapajęczonego października. Potem, wracając, wycierała oprószone ręce w wypłowiały fartuch w czerwone groszki. Bladły na nim także guziki, jakie zapinała ostentacyjnie, bez jakiejkolwiek uwagi.

– Znowu zmoczony. Nie jesteś małym drypciem, tylko dorosłym chłopem. Tak nie można. Niech cię przewijają te twoje baby. Nie wiem, jak mógł z ciebie wyrosnąć taki mocznik – gderała, ściągając pościel. Gustaw płonił się cały zawstydzony. Nie miał nawet odwagi wyszeptać:

– Mamo, przecież ty nie żyjesz.

– E tam, głupoty gadasz.

Tak by mu odpowiedziała. Tak z pewnością by mu odpowiedziała, wieszając mokre prześcieradło na sznurze. Nigdy nie mogli dojść do porozumienia. Wymijali się bezwiednie spojrzeniami, gestami, słowami. Oczekiwaniami. Po czym czuli w gardle ołowianą kulkę, wytłoczoną z wszystkich dni dłużącego się roku.

Gustaw próbował odwrócić się na bok, lecz ciało pozostawało nieruchome. Obce. A więc to tak. Cuchnęło, gniło, zupełnie odmawiało posłuszeństwa. Stawało się parującą miazgą. Zatkaną arterią, którą sączył się tylko ból. Jak sobie radę da bez niego? Na tę myśl zaczął chichotać. Rechotać. Sarkać.

– Znowu błaznujesz – usłyszał głos matki, stawiającej wielkie garnki na blasze.

Lubił wylegiwać się na pokrytym włochatym kocem łóżku, w miękkim wgłębieniu, i przysłuchiwać się jej krzątaniu. Zawsze miała coś do zrobienia. Nie usiedziała na miejscu. Zginała i wyprostowywała grzbiet, aby nie przerwać pasma życia.

Stary kogut zaglądał do sypialni, stukając dziobem w deski podłogi. Ciekawiły go kogucie łapki: rozcapierzone, kościste, obciągnięte żółtawą, wstrętną skórką z jakimiś naroślami. Wzdrygnął się. Popatrzył na swoje ręce. Miał dokładnie taką samą ohydną skórę, cienką, zwiotczałą, ze starczymi plamami.

– Pewnie jestem opierzony na plecach – mruknął.

Usłyszał czyjeś drobne kroki. Lekkie pukanie, a raczej drapanie do drzwi. Nakrył się pierzyną.

– Ta…

– Cześć, Guciu. Przyszłam po słoiki. W ogóle nie ma nieba – powiedziała z pretensją Urszula, rozglądając się po wyliniałym z życia domu. – Co ty?… Czas się zbierać…

Była to cienistowłosa staruszka z nieustającym zagubieniem w błyszczących, orzechowych oczach. Dlatego zawsze czujna i podejrzliwa. Jakby wszystko było splecione z chmur i lada moment miało się rozwiać.

– Zaniemogłeś?… – wyszeptała z politowaniem, miętosząc róg brązowej skórzanej kamizelki popękanej na plecach.

Gustaw domyślał się, że wygląda już jak pół człowieka i pół upiora, toteż nawet nie próbował przybierać jakiejś sympatycznej miny. Chciał jednak trochę nadąć policzki. Dodać sobie werwy. Ale daremnie. Oklapł. Po prostu oklapł.

– Trza po pomoc – zakwiliła Urszula, panicznie machając dłonią przed sobą, jakby zrywała niewidzialną sieć.

– Spokojnie, trochę osłabłem. Zaraz przejdzie – wybąkał, pytając w myślach: Czemu to tak długo trwa?… A może to właśnie na tym polega?…

Staruszka od zarania we wrzącej wodzie kąpana przypadła ku niemu i zaczęła dokładnie macać czoło, ręce, brzuch. Jego pierś, pod którą wciąż bił ślepy głód.

– Znowu się zlałeś, a tyle razy prosiłam, żeby założyć ci pampersa, uparty, stary osioł – syknęła rozgniewana.

– Musztarda po obiedzie.

– Ech, ty…

Spojrzeli sobie w głąb źrenic. Nikt z zewnątrz nie zauważyłby tego uśmiechu, tak był nikły. Lecz oni go widzieli. Na ułamek tysięcznej sekundy wygładził im zmarszczki.

– No już, dawaj, przebiorę cię.

Zrobiła to z wprawą. Bez komentarzy. Mokre rzeczy wrzuciła do wiklinowego kosza. Gustaw siedział na skraju łóżka. Goły i niemy. Często mylił ją z matką. A matkę z nią. Zwłaszcza ten drugi wariant nie dawał mu spokoju. Jak to możliwe? Przecież matka w ogóle jej nie znała. Nie widziała na oczy. Czyżby nosiła ją w podszyciu własnych kształtów i ruchów? Tonie głosu? Mimowiednych gestach? Zachwianych pytaniach pod czubkiem języka? Albo to on po prostu, od zawsze, miał je obie w głowie.

– Byleby nie padało. Sufit się nawilży i może przeciekać. Trzeba będzie zbierać z podłogi żałobne płatki farby…

Urszula zapinała mu flanelową koszulę, guzik za kościanym guzikiem. Od wklęsłego brzucha aż pod samą szyję. Zapinała go w obecność, której on nie czuł, która nie miała już żadnej aprobaty z jego strony. Była mu zupełnie obojętna. Więcej, przeszkadzała w ukryciu.

– Po mgle zawsze wychodzi słońce – powiedział jednak sentencjonalnie i pocałował wnętrze jej spierzchłej dłoni.

– To nie mgła, to mleko.

W zupełnej ciszy. W przestrzeni wypełnionej niedotykalną, lecz gęstą substancją poczuli się sami na świecie. Jakby stracili nagle poczucie rzeczywistości. Wrażenie to udzieliło się także drewnianemu domowi. Nasłuchiwał najpierw ścianami, strzechą, futrynami. Potem piecem, kominem, sienią. Wreszcie wonią jabłek, zamszową wilgocią w kątach, pleśnią i pyłkami kurzu w powietrzu – nie usłyszawszy żadnego dźwięku, zwinął się w sobie, skurczył.

Tymczasem do środka wślizgnęła się ruda, płomienista Karina. Pęk kluczy wiszących na jej szyi zabrzęczał, kiedy pochyliła się nad Gustawem.

– A tukej jeześ, łajzo. Wszendzie ciem szukom, a ty wylegujesz kartofelki pod pierzynkom. Do roboty to nigdy ciem nie ciongneło.

Gustaw udawał, że śpi. Więcej, że nie istnieje. Ale wścibska, rześka baba nie dała się nabrać. Stuknęła go piąstką w czoło. Rozkleił powieki.

– Witaj, droga sąsiadko – wystękał, czując piołun w ustach.

– A kij ci w żebra. Pilnuj te swoje kociary, bom straciła cierpliwoś.

– Kochana Veni i kochany Vidi…

– Dwa czorne dioboły. Plondrujom moj strych i srajom jak popadnie. Nasułam im piachu po kontach, a i tak walom kaj chcom. – Naburmuszona Karina na chwilę zetliła się w sobie, bo przypomniało jej się, że krowa wciąż ma wzdęcia i że będzie musiała pójść do tego krwiopijcy weterynarza po radę. Niech sczeźnie krowoniał!!!

– Ale przecież to twoje koty.

– Dołam ci je, kej były malutkie… a co, miołam je potopić?… wziołeś i jeszcze flaszkem dostołeś…

Flaszka!? Gustawa oświeciło. Dosłownie roziskrzyły się jego źrenice. O mało nie zatrzepotał ramionami.

– Karinuś, moja droga rudowłosa wiewióreczko, ze ślicznymi pieguskami na nosku, a przynieśże mi tej nalewki z dębu i orzechów – wypalił jednym tchem, wyszczerzając ku kobiecie bezzębne dziąsła.

Ta przyjrzała mu się badawczo. Najpierw surowo, następnie tkliwie.

– A wiesz, downi zawsze przypominołeś mi Gregory Pecka… może bez to, że w stodole zawsze widziałach cie w blasku ksienżyca. Kaleczyłam palce o kolce pnoncej róży, co wciskała siem szparami…

– Ach tam – cyknął zniecierpliwiony Gustaw.

– Nie umisz siem wyłomać?

– Raz czuję w brzuchu zeschły mech, to znów twardy głaz.

– Mosz wzdyncia?… kej moja krasulka, he, he…

Gustaw bliknął na nią prawie drapieżnie. Aż w Karinie zasyczały resztki soków.

– Przynieś.

– Idem, już idem.

Kapało za oknem, a potem turlało się po szybie. Czyżby skraplała się mgła? Z ceraty zaklejającej dziurę po kamieniu ściekała ciemna strużka.

Gustaw dobrze zapamiętał ten kamień: był płaski, z ostrymi krawędziami po bokach i długo obracał się na deskach podłogi. Nie zdążył dobiec do okna. W zmierzchu zobaczył tylko szarą, szybko oddalającą się sylwetkę. Jakiś rogacz albo kłusownik, pomyślał wtedy. I z jednymi, i z drugimi miał zawsze na pieńku. Ci pierwsi mogli mu obić mordę, ci drudzy byli bardziej niebezpieczni. Kanalie bez skrupułów.

Okoliczne knieje były pełne zwierzyny. Na polanach stawiano ambony, wokół których rozsypywano jabłka. Strzelano do ofiar z długich rurek jeszcze partyzanckimi nabojami. O wiele okrutniejsze były jednak wnyki zastawiane na szlakach zwierzęcych wędrówek, w jakich złapana sarna lub jeleń konały w mękach. Gustaw pisał o tym bestialskim procederze i do sołtysa, i do nadleśnictwa, i komisariatu. Bez skutku. Decydenci

niejednokrotnie byli krewnymi lub nawet współpracowali z kłusownikami. Ludzie bali się zemsty. Milczeli.

– Taki obyczaj… tradycja?… zawsze tak było – bąknął ten czy ów przez zaciśnięte, wąskie wargi.

Gustaw kupił sobie moro, nieprzemakalny, gumowy płaszcz, żołnierskie buty, wielki sekator do metalu i drutu i postanowił sam rozprawić się z bandytami.

– Czy ty masz po kolei w tej głowie, durniu jeden?! – krzyknęła Dorota, blada jak ściana, a czarne loki na jej głowie jeszcze bardziej się skręciły.

– A co, mam nocą słuchać przerażającego wycia zdychających zwierząt? Przynajmniej poniszczę te przeklęte pułapki… może nie wszystkie, ale zawsze coś…

– Debil, kompletny debil. A pomyślałeś o nas, o mnie? – Tym razem Dorota przybrała barwę fioletu.

Była piękna w swym gniewie. Jaskółcze brwi, faliste rzęsy, filuterne policzki, soczyste wargi wyostrzyły się, zharmonizowały. Jednak było to piękno zimne, obce, fascynujące, lecz nieoswajalne. Gustaw patrzył w nią jak urzeczony i tylko wzruszył ramionami.

– Kiedy cię dopadną, to wypatroszą jak wieprzka… Dociera to do ciebie?… Nawet nikt nie znajdzie twoich gnatów…

– Ee tam, przesadzasz…

– Widziałeś tych Marczaków, widziałeś tych oślinionych Derkaczów na ostatniej zabawie w remizie? Jak się na nas gapili, jak pluli nienawiścią?

– Zawiszczą mi ciebie, że to ja w końcu cię przydybałem, Casanova powiatowy, a oni tylko oblizują się smakiem – próbował zażartować Gustaw, ale poczuł w gardle nie hożą artykulację, lecz rzężenie.

Wstrząsnął nim niepohamowany kaszel z głębi trzewi. Jakby coś chciało mu siłą wyrwać zasupłane jelita. Czyżby to już?… A może to tylko kolejny atak?…

– Lecę, lecę ze syropem! – wołała z przejęciem matka. – Poczekaj, gdzieś tu był w kredensie.

Pośliznęła się na niewytartej podłodze. I poleciała, ale głową w dół. Gustaw w drzwiach zobaczył śmigające nogi. W niemym kinie wyglądałoby to na niezły gag. Tyle tylko, że biedaczka przypłaciła to wielotygodniową kontuzją bioder. Jęczała. Poruszała się niby kukiełka pociągana za niewidzialne sznurki. Była zdana tylko na siebie. Dlaczego wtedy jej nie doglądał? Dlaczego wtedy jej nie pomógł? Dlaczego nie mógł jej pomóc? Dlaczego nie chciał?…

– Gziłeś się ze mną – odezwała się z głębi kąta zmysłowa, smagła, sprężysta Marta.

Zatłoczone tramwaje. Pociągi. Autobusy. Zatłoczone autobusy. Pociągi. Tramwaje. Tam i z powrotem. W ciągłym biegu. Na bezdechu. Ludzie. Gęby. Neony. Deszcz. Śnieg. Słońce. Mrozy i skwar. Skwar i mrozy. Wte i wewte. A wszystko dla jej woni. Jej skóry pachnącej jak wata cukrowa. Jak rozgrzany karmel. Jak gorzka czekolada. A wszystko dla jej głosu: namiętnego, posykującego, bezwstydnego. To był absolutny amok. Skrajne wycieńczenie. Destrukcja. Modliszkowata ekstaza. Gustaw nie miał pojęcia, jakim

cudem to przetrwał. Ocalał. W dźwięku imienia „Marta", budzącym jednocześnie rozkosz i przerażenie, topił się, rozpuszczał, szedł na dno.

Uratowała go oczywiście matka (o czym nie miał zielonego pojęcia), swoimi sztuczkami wypędziła tę czarownicę, zmorę, demona z jego życia. Przepędziła na cztery wiatry. Najpierw użyła roślin – tarniny, ostu, jałowca, głogu, dzikiej róży – których gałązki i kolce umocowywała we drzwiach, oknach, zaszywała w jego odzież, wkładała pod poduszkę, aby kłuły i raniły tę uwodzącą bestię. Potem wilgotne kwiaty – dziurawca, mięty, lipy, rumianku – zapinała pod kołnierzem jego koszuli lub płaszcza, żeby skupiały na sobie przeklęte spojrzenie, a nie na jej Guciu.

Kiedy wracał ze szlajania i leżał wycieńczony na wyrze, okadzała go dymem, nacierała dziegciem lub czosnkiem, obrysowywała kredą grubą linią na podłodze, w ten sposób zamykając dostęp nieczystej sile.

W woskową laleczkę wbijała igły, szpilki, zardzewiałe haczyki i gwoździe, a potem wrzucała ją w żar, aż do całkowitego roztopienia. W kieszenie wkładała mu sznureczki z węzełkami, woreczki z korzeniami ziół, a także woreczki z kurzymi piórkami oraz pazurami.

O każdej porze pachniały w całym domu grzyby, a także gęste wywary z błotnistych kłączy i przegniłych liści.

Gustaw stwierdził, że matka już ostatecznie zbzikowała, kiedy powiesiła mu na szyi łańcuch z widelcem. Ale to właśnie wówczas, jakby pękł w nim cały system nerwowy, z radosnego, erotycznego podniecenia, i z kleistego, odurzającego pożądania, nagle zanurzył się w czarnej melancholii. W awersji do tego, co cielesne. Obojętności, przypominającej otchłanną mgłę za oknem. Ocknął się pewnego ranka w nocnej koszuli, z fryzurą w jeden deseń. Siorbiąc życie z kruchych miseczek, jakie podawała mu matka…

Huczało od światła. Chata wydawała się lewitować. Wiązały ją z ziemią chwasty, wijące się korzenie krzewów, długie, ostre trawy. Buczały owady.

– Ześwierkł.

– Chyba.

– Dycha.

– Gdzie tam.

Gustaw otworzył i zamknął oczy. Zobaczył nad sobą gęby czterech jeźdźców Apokalipsy, tyle że nie kościste, ale obleśne, pucułowate, utuczone.

– Hej, panie Gustawie, to my… nie poznaje nas pan?…

Rzeczywiście we własnych osobach byli to: ochroniarz, notariusz, nabywca i świadek. Każdy z nich miał za sobą pałającą aureolę światła.

– Dzisiaj finał. Mamy papierki. Podpisuje je pan i kwita – odezwał się notariusz z grubą teczką pod pachą.

– Wreszcie będzie pan miał godne dla siebie miejsce – dodał nabywca.

– Tak, w pensjonacie Arkadia czeka już na pana piękny pokój. Z pańskimi meblami, rzeczami, pamiątkami. Będzie tam panu jak w raju. Wikt, opierunek i całodobowa opieka ponętnych pielęgniarek – konfidencjonalnie oznajmił ochroniarz.

– Znajdzie pan tam prawdziwych przyjaciół, a nie takie szelmy, które zawsze chciały pana tylko oskubać… i spokój, spokój… niczym niezmącona cisza – zapewnił nabywca.

– Jest pan farciarzem… o jejku, jejku, jeszcze jakim – cmoknął słodko notariusz. – Całą kwotę przelaliśmy na szacowne hospicjum i starczyło jak ulał. Co do grosza. Niebywałe!!!

– Tak, tym bardziej że ceny takich chałup jak pana spadają obecnie na łeb na szyję… – Nabywca pokiwał głową z dezaprobatą. – Nie warto w nie inwestować. Mało kto już tutaj przyjeżdża.

– Wie pan, strefa przygraniczna, właściwie przyfrontowa. I ci wszyscy podejrzani uchodźcy, wypisz wymaluj kryminaliści, nie tylko obrabują, ale jeszcze i zarżną – stwierdził autorytarnie ochroniarz.

– A wojsko tymi swoimi gąsienicami to tylko rozjeżdża lasy, rozległe grądy i dawne bujne pastwiska. Poza tym strzelają do kogo popadnie. Ludzie uciekają stąd, gdzie pierz rośnie – ze smutkiem i żalem powiedział świadek.

O czym te bestie gadają, pomyślał Gustaw i chciał naciągnąć na głowę pierzynę. Nie zdążył, bo dwie pary rąk uniemożliwiły mu to. Próbował więc wśliznąć się pod puchowe okrycie. Ale poczuł żelazny uścisk na szyi.

– No wyłaź pan i podpisuj… bez ceregieli…

– Ta, nie mamy czasu na ciuciubabkę.

– A jak nie możesz pan wyleźć, damy podkładkę, podpisze pan w wyrze.

– Byle raz dwa, bo mamy jeszcze do obrobienia staruchę w Nurcu, starca w Syczy i w Radziwiłłówce, a na koniec dwie wdowy w Mielniku.

– Mamo, ratuj!!! – zawył Gustaw. – Ulka, na pomoc!!!…

– Odbiło dziadowi.

– Zamknij dziób.

– Ale cuchnie… sfajdał się – ze wstrętem zauważył notariusz, chcący wcisnąć między palce delikwenta grubego parkera.

Jednak daremnie. Spod pierzyny wyskoczył oskubany kogut. Głośno zapiał i czmychnął w kierunku otwartych na oścież drzwi. Wydawało mu się, że jest prawdziwym ptakiem i że może fruwać, bo wciąż z ufnością trzepotał skrzydłami.

Rysunek – Marek Chaczyk